



Józef Ignacy Kraszewski
(1812 — 1887)

Kartki z podróży (1858 — 1864)

Podróże koleją. Fizjognomja kraju. Stacje

Chcieć opisywać podróż odbytą koleją żelazną, byłoby prawie śmiesznem, co najwięcej być by to mogła historia wagonów, sąsiadów, przypadki i śmieszności najniewygodniejszego według mnie sposobu przenoszenia się z miejsca na miejsce, który człowieka czyni pakunkiem. Niewiele co podróżny schwycić może w zwyczajnej wędrowce nawet dosyć powolnie odbywanej, cóż dopiero w tak szparkim przelocie, gdy wspomnienie, tylko co widzianego przedmiotu, wnet się dziesięcią innemi zaciera? Ściśnięty w wagonie, zanumerowany jak rzecz którą z miejsca na miejsce, mniej więcej całą, przewieść się obowiązano, jedzie król stworzenia zdegradowany do roli tłómoka, ledwie śmiejąc spojrzeć przez okno. Jest to już nie podróż, ale proste przenoszenie się z miejsca na miejsce, które w przyszłości powinno być ulepszone z pomocą chloroformu. Ludzi będą usypiać, administracja kolei naładuje niemi wozy, a wedle kartek poprzyklepianych na czole, konduktorowie wydawać ich będą po stacjach gdzie dopiero szwajcar w *wartesaal* otrzeźwi... Tym sposobem mniej zajmą miejsca, spokojniej odbędzie się podróż, i wiele niedogodności się usunie...

Tak jak dziś koleje są urządzone nie powiem żeby podróż niemi była nadzwyczaj przyjemną. Nieład, ścisk, pośpiech, niewola miejsca i czasu, narażenie często na nieprzyjemne sąsiedztwo, każą żałować własnego powozu, własnej woli a choćby powolniejszego nieco ruchu...

Droga od Trzebini już mi znów całkiem była nieznaną, przypatrywałem się więc krajowi z ciekawością turysty, coraz więcej w nim od naszego różnic upatrując.

W naszych prowincjach wielkie przestrzenie, gdzieniegdzie pola szerokie jak oko sięgnie jednym całe ziarnem zasiane, droga hula wyjeżdżona aż miło kręcąc się fantazyjnie gzygzakiem, łąka się rozlega, las sobie swobodnie rozrzuca młode odrosłe dokoła, i wije, buja po błoniu. — Tu, im dalej jedziesz w owe zniemczale kraje, coraz a coraz inaczej, maluczko ziemi i skąpo jej dla ludzi, ciasno, oszczędnie, po niemiecku. — Każde kawałtoko ziemi użytkowane, ogrodzone, uprawne,

pokrajane na cząsteczki skąpo, pociupane, rzekłbyś że się ludzie o wstążkę ziemi pobiją. Spotykasz cmentarz, umarłym w nim ledwie tyle miejsca dano by nowy grób kopiąc nie wywrócono starego, leżą uszykowani jak żołnierze; ... chatka ... choć śliczna i czysta, ale malutenieczka, kościół, niski, maciupki, dwór boi się rozsiaść aby ziemi nie zajął do zbytku, droga jak tasiemka, ledwie się na niej dwóch konnych ominie... Prawda że za to porządnie, miło, z ładem, ale trzeba być małym człeczkiem aby w tej klatce wytrzymać. Na oku przywykłem do naszej rozrzutności czyni to wielkie wrażenie, ściska się serce myśląc że tu ludziom biednie być musi, wązko, skąpo... tak nie jest w istocie, pozory myślą, ludzie przywykli do tych rozmiarów i z jednego zagona ciągną więcej niż nasi z szerokich przestrzeni.

Za Trzebinia migają już tylko stacje, Oświęcim, Janiszowice, Dziedzic... Chybi... coraz lepiej poprzekęcane z polskiego na niemieckie; talentu do przeżywania nie można Niemcom odmówić; przykłady liczne w poznańskim... niepotrzebujemy przypominać. Są w ten sposób porobione dziwołagi które przyszlým etymologom dobrze głowy nałamią. [...]

Widoki. Riggio; Okolice Pizy i mieszkańcy. Piza, wieża pochyla

Wyjechawszy z Pietrasanta ponadto wygodnym popasie, ruszyliśmy dalej żyzną doliną, wzdłuż gór, i dojechawszy do mostku, od którego dzielą się dwa gościńce, jeden wiodący do Lukki, drugi do Pizy, spytaliśmy veturina, czy pewny jest, która ma być nasza.

Signor Giuseppe widać po raz pierwszy był w tych dalekich stronach, milczał, nie chciał się przyznać do nieświadomości, popędził konie żywiej i puścił się piękną wysadzoną przez błota i łąki drogą — prościuteńko do Lukki. Myśmy się zapatrzyli na łańcuch gór przepysznie oświecony, gorejący, malowany jak chyba Calame malować umiał, i tak sobie spokojnie gnaliśmy dalej... Góry jakby na pożegnanie z niezrównanem bogactwem kolorytu przedstawiały się tak majestatycznie, żeśmy o wszystkim dla nich zapomnieć musieli. Dalsze ich plany to z dziwną rysowały się dokładnością, z wszystkimi zmarszczkami i cieniami, to przytłumionemi sinawemi mgły się osłaniały. Gdzieniedzie szczyt okrywał mrok, a boki poźłacało słońce, jakby pyłem złotym je potrząsając... chmura z pasami deszczu przechodziła ciemna, lub naostatek słońce zniżając się czerwono, jaskrawo oblało barwą różową cały łańcuch na pożegnanie... Zdawał się palić i płonąć. —

W dali ponad morzem ciągnące się wzgórza coraz malowały się bledziej, coraz mniej wyraźnie, zlewając się ze złotemi tonami nieba nikły, a znikłszy marzyły się jeszcze na widnokręgu. Potem słońce zapadło i siny cień zimny objął wszystko jednym całunem smutnym, ale pod nim majestat gór jeszcze się wydawał straszniejszym. —

Obraz ten nigdy nam nie wyjdzie z pamięci... Gdyśmy się w nim cali zatopieni rozpatrywali stojąc w powozie, poczuliśmy, że veturino coś zagadawszy, począł

gwałtownie skręcać... Po niewczasie zapytał się on przechodnia i przekonał, że jechał do Lukki... to go wprawiło w zły humor i wywołało na pusty kraj przekleństwa. Kłął szczęściem po genueńsku, nikt go nie rozumiał. Trzeba było zawrócić ogromny kawał już odjechawszy od pizańskiego gościńca. Myśmy się śmieli, bo choć trochę opóźnieni, dzięki veturynowi, widzieliśmy krajobraz w całym majestacie i mieliśmy wyobrażenie błot Lukki. Zawsze to stokroć lepiej, niż pędzić koleją żelazną na złamanie karku. Zwróciliśmy w stronę Reggio małego miasteczka nad morzem. Ulica piękna wiodła ku niemu, wśród wiekuiście jednych ogródków włoskich... dumaliśmy o czarownych Włochach; — aliści, o чудо... wszakże to nasz, litewski, jakbyś go widział, borek sosnowy na piasku! Powiał wiatr, szumią jak nasze i kraj się serdecznie przypomniał! Witajże wspomnienie! Tak tu płasko jak u nas, tak cicho i pusto, ale też piętrzą się Apeniny, a za borem szumi nie naszym językiem morze włoskie...

Reggio mała mięścina z kamieniczek złożona, mieszkańcy jej zabawiają się kręcąc liny i przyjmując gościnnie marynarzy, sami pewnie rybacy, pełno porozwieszanych sieci i łodzie stoją u brzegu ze śpiącymi żegłami. Droga z Reggio do Pizy idzie żyznym w części krajem, ale oliwnych drzew nie widać, dęby i sosny, cyprysy, wierzby poobwieszane winną macicą, która się tu wszędzie czepia, pola otacza, płoty okrywa, nad rowami i plotami spina, po domach przylepia.

Pola uprawne większych nieco rozmiarów, mimo to lud zdaje uboższy, widać własność nie jest rozdrobiona. Po polach rozrzucone chaty murowane *manentów*, dzierżawców lub połowiczników; na górze w nich skład siana, paszy i spichlerz, w dole mieszkanie i obórka lub stajnia. Obok stoją stożki zboża i smętne budy słomą kryte, wielkie, nakształt tych, co je dzieci z kart stawiają. Pod szopą widne wóz wielki o dwóch kołach, ciężki, który służy do przewożenia robotników, rodziny, snopów zboża, kadzi z winem, słowem do wszystkiego. Często siedzenie w nim na małych resorkach osadzone, bo też okrutnie trząść musi. Ciągną taki wóz dwa woły ogromne, piękne, których pyski pokrywają długie plecionki, zapewne do opędzania much służące, lub koń z ozdobnym siodełkiem na grzbiecie w zaprzęgu przybranym strojno... Lud wygląda ubogo i niepocześnie.

Pierwszy raz we Włoszech widziałem pod Pizą piętnastu żniwiarzy na jednym polu, wracało ich też drogą po kilkunastu razem wozami, żyto i pszenicę żyzniano jeszcze po staroświecku jak u nas sierpami, miejscami wrywano, co gorzej. — Zboża były dość mierne... Na polach plantacje lupinusu. —

Chociaż rozczuliliśmy się lasem sosnowym na piasku, wjechawszy weń, prawda przyznać każe, iż po bliższym wpatrywaniu się, sosny te wielce się od naszych różniły. Rosły tylko na szczyrym i białym piasku jakby nasze. Za lasem długa droga tujami i cyprysami sadzona prowadziła dobrze do cementarnego grodu. Zawsze jeszcze siniejące Apeniny mając przed sobą, przebyliśmy rzekę po pięknym murowanym moście i Pizę starą ujrzelśmy przed sobą.

Kościółek mały przed miastem, cmentarz, rogatka i oto rozpoznajemy budowę krągłą baptisteria, pochyłą walącą się wieżę, katedrę i pełny murów gród, o którym śpiewał tylekroć Dante. Na pierwszy nawet rzut oka te budowy wielkie czynią wrażenie, ale szkoda prawdziwie, że wieża jest pochylona, byłaby niezawodnie piękniejszą, gdyby mogła być odprostowaną. Oko tem dziwowiskiem zaspokojone jest nie zachwycone, rodzaj to architektonicznego potwora, osobliwość, czy wysiłek sztuki, ale nie prawdziwa piękność. Jest to coś na kształt kobiety pięknej budowy i twarzy, a zwichniętej i skrzywionej. —

Zdobi te gmachy kolor złotawy, który białe przybrały marmury, zdaje się, że słońca włoskiego nasiąknęły w siebie. Na północy, w Londynie marmur starzejąc czernieje, pleśnieje, na wschodzie i we Włoszech się wypieka, ogrzewa. Co pomoże najpiękniejsza architektura gmachowi, w którym jak u Ś. Pawła przody kolumn przeciw wszystkim prawom zwykłego oświetlenia, będą ciemniejsze od stron odwrotnych, dla tego, że je wilgoć wprzódki wypsuje i zczerni. Już ciemniało gdyśmy przesunawszy się przez plac koło Duomo, powitawszy jego pamiątki, przez ulice osławione gmachami wielkimi i wspaniałymi, ponad Arno dostali się do angielskiego — niestety — hotelu Victoria... [...]

Wycieczka do Castel di Poggio; Fiesole, widoki, powrót nocą

Nazajutrz wybrałem się na całodzienną wycieczkę za Fiesole do *Castel di Poggio*, w którym na lato zamieszkiwał P. Emil Boratyński. Fiesole o trzy małe milki od Florencji położone na wysokiej górze, w prześlicznym położeniu, jest prastarą osadą etruską pełną starożytnych i średniowiecznych pamiątek. Z trzech stron jeszcze szczątki murów cyklopskich opasują tę drzemiącą po wiekowem życiu mieścinę, która jest prawie matką Florencji. Wspomina o tem i Dante. Na szczycie góry kędy było Akropolis pozostały ze świątyni osiemnaście kolumn marmurowych z *cipollino orientale*, z których piętnaście, z podstawami z białego marmuru i kapitelami, umieszczono w kościele. Są tu także szczątki dawnego amfiteatru w 1809 odkrytego, dziś zasypanego, starego luku, i grotty wyżłobionej ze wschodami wiodącemi do dłuższego przejścia podziemnego, który za wodociąg służył Etruskom. W bliskości są dawne kopalnie kamienia, *pietra serena*, które dostarczyły materiału na budowy Florencji... Fiesole wznosi się o tysiąc stóp po nad Florencją, widok z niego przecudny na całą dolinę Arno. [...]

Jadąc do Fiesole droga się ciągle podnosi powoli, wężykiem kręcąc po skraju góry wśród villi, ogrodów, cyprysowych lasów, domków, stanowiących jakby przedmieście Florencji. Wzrok coraz dalej sięga na otaczające Apeniny, na wijące się w dolinie Arno, nareszcie z wierzchołka wyżyny postrzeżę się całe miasto z kopułą majestatyczną N. Panny kwiecistej, z Campanilem Giotta, kopułą Medyceuszowskiej kaplicy, wieżami kościołów i gmachami rozsianymi w dolinie wpośród zielonych ogrodów, niezliczone ville wyglądają z nich jak z koszów zieleni. Widok bardzo jest

piękny, każdy zawrót drogi go urozmaica, w głębokim rozdole dolina rokosznie umajona, do koła sine gór szczyty na straży, w dali Valombrosa, Prato Lino, wyżyny kolorowane precudownie najbogatszymi tony palety powietrznej.

W budowach nadzwyczajna rozmaitość, ville, kapliczki, mury, bramki, wschodki, ganki obwieszane bluszczami i winną latoroślą, tajemnicze podwoje domków wiejskich pustych, smętnych a ślicznych przy tej swej obumarłości. Cała ta przejażdżka wśród panoramy ruchomej jest jakby sen uroczy, malarz nie może się nacieszyć nieskończonym bogactwem materiałów jakie tu spotyka.

Najdziwaczniejsze kletki murowane lepione kilkaset lat, jak jaskółcze gniazda u boków góry, zachwycają łamaniną linii światła i cieni najfantastyczniejszą. Zastanowił mnie jeden także domek nad drogą, który znalazłem naszkicowany w albumie Boratyńskiego, była to Casa... podobno rzymskich jeszcze sięgająca czasów.

Fiesole ze swym klasztorem i wieżycą uczeponą na wierzchołku góry, z katedrą, z wązkami uliczkami wygląda miłuchno... a nadewszystko malowniczo. Budowle na mniejszą skalę przypominają florenckie, mnóstwo portyków widocznie naśladowanych z Loggij Orgagna, mnóstwo villi naksztalt pałaców miejskich z poważną fizioznomją zamczysk...

Już od Fiesole na oddzielonym pagórku postrzega się ów *Castel di Poggio*, do którego wiedzie drożyna malownicza cyprysowym laskiem, doliną skalistą, naostatek długą wysadzaną we dwa rzędy ulicą cyprysów. Zamczysko to stare z czasów Sylli, w dziesiątym wieku własność rodziny możnej, poważnie bardzo wygląda ze swą wieżycą, i grubemi murami. Widok ztąd na Florencję i Valombrosa precudny, krajobraz rozległy bardzo. [...]

Na przepatrywaniu albumów i na ich rabowaniu, przeszedł mi czas do wieczora [w Castel di Poggio], w miłym towarzystwie gospodarzy, tak żywo, żem się niepostrzegł, gdy nadeszła chwila powrotu. Może i dobrze się stało, żem się nieco przypoźnił, że mi przyszło nazad przebywać tę drogę w innej porze, wśród najśliczniejszego wieczora włoskiego, i ożywionej nim ludności, która poczawszy od Fiesole, przejażdżkę czyniła jednym obrazkiem pełnym ruchu i wesołości.

Cichy ten gościniec roił się teraz wywabionemi ze wsząd mieszkańcami okolicy, powietrze wonne było od kwiatów, pływały w niem jasne *luciole* jak gwiazdki latające, brzmiały gitary, rozlegały się śmiechy, krążyły pary szepcząc po cichu słówka słodkie, a trochę starsi i trochę młodszy rzucali z hałasem kule bawiąc się w grę włoskiemu ludowi ulubioną. — Cała ta przestrzeń cicha z rana żyła życiem nowem, pobudzonym i pełnem swobody. Przed obrazami Madonn zapalono lampy, całe rodziny usadawiały się na wschodkach domków, był to obraz spoczynku wesołego po dniu pracy, a wzrok sięgając przez otwarte drzwi we wnętrza domków i tam znajdował mnóstwo postaci jakby śliczną tą nocą rozbudzonych...

Prosiłem mojego woźnicę, aby jechał powoli, żebym się mógł dłużej nacieszyć tym widokiem, który mnie oczarował. Wiała odeń jakaś pierwotnych wieków

prostota obyczaju, coś rajskiego, coś niewinnego, czego już w więcej cywilizowanych krajach nie znaleźć. Tej poezji życia nie spotka się w okolicach Paryża i Londynu, które nie będąc miastem, wsią już nie są. Tu miasto same ma jeszcze w sobie trochę wiejskiej prostoty, nie ono ubarwia to co je otacza, ale kraj na nie oddziaływa i wykształca je. Niestety z tym koniecznym postępowaniem, który jest potrzebnym, bo stanowi przejście do innego stanu, którego przewidzieć i przeczuć trudno, Florencja zapewne utraci swą woń wioskową a zostawszy stolicą wielkiego państwa wystroi się jak królowa i jak wielka pani wzgardzi wesołą a prostą przeszłością. — [...]

Droga do Paryża. Krajobrazy. Tarascon. Avignon

Dosyć jest powiedzieć że z Marsylii pociąg kurjerski nielitościwy porwał mnie na skrzydła pary i niósł, nie spoczywając, aż do Paryża, aby się wytłumaczyć z tego żem z okna wagonu nie wiele mógł widzieć i ta najpiękniejsza może część Francji mignęła mi, jak sen tylko. Szczęściem kilkakrotnie potem daleko powolniej, zatrzymując się, przebywałem drogę z Paryża do morza Śródziemnego i mogłem dopełnić późniejszymi studjami, pobieżne wrażenia tego przelotu. Zaraz za Marsylią, która nam z oczów znikła, ukazały się malownicze skały żółte i szare, a w pośród nich i wielkiej masy zielonych ogrodów, w których widać było cyprysy, pomarańcze, winne sady... domki schludne i ładne, chociaż bez wielkiego starania o zewnętrzny wdzięk stawiane. Ogrody i budowle były widocznie dla gospodarstwa tylko pourządzane, wszystko pod sznur, w grzędy, w linie proste. Potem znowu skały i obrywy i w lewo jeszcze raz błysnął morza kawałek, aleśmy je wnet z oczów stracili. Z fizjognomji kraju ledwie się co pochwycić dało; czasem przypominał brzegi morza Czarnego. W lewo pokazywały się słone jeziora, sadzawki i kupy soli około nich. Wszędzie znać gospodarstwo i staranie, chociaż ziemia płowa, spalona, nie zdaje się być urodzajną. Na górach od południa winnice, inaczej uprawiane jak we Włoszech krzakami, przy ziemi i drobnych kijekach. Tych wieńców od drzewa do drzewa czepiających się tak ozdobnie, tak wdzięcznie, tu już się nie spotyka, wino rośnie prozaicznie, jak u nas kartofle.

Przez okno wagonu migają różne widoki, wzgórze na prawo się podnoszą, potem znowu równiny żyzne, poszachowane, pokrajane na drobne kawałki, łączki gdzieś niegdzie zielone, domki ładne w drzew kupce. Wspanialszych pałacyków, zamków, kościołów, pamiątek jakoś nad drogą nie postrzegam. Po miasteczkach ledwie gdzieś coś starego i to tak zrestaurowanego, wybielonego, odmłodzonego, że wygląda jakby nowe. Znać że kraj i lud żyje więcej teraźniejszością, że tu dobrobyt jest wszystkim, a staranie oń pierwszym celem życia.

Poezja uciekła ztąd w góry, lasy i pustkowia.

W Afjgnonie, koło Tarascon kilka wieżyc gotyckich, kilka wznioślejszych muru szczytków, nowym, wybitnie innym zastanawiają charakterem po dłuższym obcowaniu z murami we Włoszech. Tam w ogóle budowy więcej mają cech staro-rzymskich,

jakieś są spokojniejsze, cięższe, rozsadowione a przyległe bezpiecznie do ziemi; tu inny pierwiastek, myśl, epoka, przyniosła z sobą wyraz nowy, wieże śpiczasto strzelają i pną się do nieba, dachy piramidami uciekają w górę, ostre luki piętrzą się i wspinają, zdając się ledwie ziemi dotykać. Czujemy że inny jakiś lud wydał tu też sztukę, różną od tej, której zabytki długośmy oglądali. Tamtych budowli znamieniem jest powaga i siła, tych strzelistość i lekkość. Chrześcijaństwo które zaparło się ciała w człowieku, w sztuce też chce być niemal bezcielesnem. Ten pęd ku niebu każda wieżycza i portal kościoła ma na sobie wypisany. Jest w tern coś wschodniego, coś radykalnie różnego od szczątków starego grecko-rzymskiego świata.

Po Włoszech całe też życie Francji odmienną cechą się narzuca, tam jeszcze w Madonach, w modlitwach, w zabawach czujesz Boga i opatrność, w nieopatrności narodu jest ona najwybitniejszą; tu człowiek rachuje tylko na siły własne i zabiega, rzuca się, myśli o sobie. Ruch jest wszędzie wielki, nigdzie bez celu, fantazji, zawsze praktyczny i obliczony. Tam wszyscy mają aż nadto czasu, tu się niesłychanie śpieszą; tam ubóstwo nie wstydzi i nie zbyt dolega, jest dopustem Bożym — tu sromotą i największem nieszczęściem. [...]

Okolice Paryża. Handel! Handel!

Z okna wagonu nie widzę nic prócz tego co do mnie samo przychodzi — zbliżanie się wielkiej stolicy nie zwiastuje się niczem nadzwyczajnem; dosyć drzew i zieloności... Nagle zaczynają się zjawiać mury, domy, ściany, ogrodzenia, bramy, kominy całe okryte prospektami, ogłoszeniami, nazwiskami, ilustracjami... zaproszeniami... Litera sążniowe, cieniowane, złożone, czerwone, czarne, pną się, cisną, kłóćą, włączają jedno na drugie, zdają się bić, napierając do oczu. Olbrzymi surduty na tytana skrojony, zajmuje cały szczyt domu i oznajmuje mi pierwszy że jesteśmy w Paryżu. Tak wielki surdut nie pomieściłby się w małym miasteczku. Wielu mądrych ogłoszeń i pomysłów przyznam się że nawet zrozumieć nie mogę... Lecimy dalej... W ulicach pełno wozów miejskich... zamiatacze krzątają się z miotłami... godzina szósta rano... pusto jeszcze a już gwarno i ruchliwie. Niema domu bez sklepu lub sklepiku... bez drzwi, napisu i godła... Frymark panuje tu... handel! handel! Wózki małe śpiewają monotonna swój towar posuwają się popychane przez przekupniów. Na ogromnych karach pełno zieleniny i jarzyn, wozy ładowne... Gałganiarz jeszcze resztki śmiecia o białym dniu uczenie rozbiera, wracając już spocząć do domu, bo pracuje nocą.

Znać przebudzenie poranku i przygotowywanie do życia, coś naksztalt tego jak gdy we dworze państwo śpią, a służba pokoje czyści i śniadanie dla nich przysposabia. W ulicach widać tylko tę klasę która dla obrządzenia pracy innym sama pracować musi...

Po miastach włoskich cóż to za ład, czystość, elegancja, porządek! jak tu znać dobrze nakręcony zegarek, który doskonale idzie... obracają się wszystkie kółka... [...]

Na dworcu kolei północnej. Koleje. Droga i widoki. St. Denis. Enghien. Pontoise. Clermont. Amiens. Arras. Valenciennes. Quievrain. Belgia. Zmiana dekoracji. Pejzaż

Zaledwie z dworca wpadamy w tunel, który przechodzi pod bulwarem, a później przerynamy przedmieście St.-Denis. Okolice naprzód fabryczne, kominy zakrywają widok, ogromne warstwy kolei, magazyny wagonów, przyległości dworca. Potem kraj płaski, dosyć nagi, nie wielkimi z obu stron wzgórzami zamknięty. Gdzieś tam sterczy jeszcze osamotniony komin i bieleją murowane domki; kościółek wiejski z wieżyczką spiczastą czarnym łupkiem pokrytą, pałacyk, wiejska willa z kwitnącym ogródkiem. Wszystko to przelatuje i miga. Pola widać starannie uprawne, ulice i miedze drzewami młodeymi wysadzone. Za stacją St. Denis, dolina Montmorency, pełna wspomnień Rousseau. Koło Enghien ładne jezioro, otoczone zielonością, z której wyglądają pałacyki, mile się uśmiecha. Około Pontoise widać łomy kamieni, ale to wszystko ślizga się i przelatuje tak szybko, że zaledwie ogólne rysy obrazu pochwycić można. Około Creil znowu fabryki. Niektóre wioski ubogo wyglądają, dachy ich słomą kryte, jak u nas, smętne czynią wrażenie, maleńkie sterty zboża przypominają też nasze. Mijamy Clermont, kraj staje się coraz mniej pięknym, dosyć nagim, aż do Ailly sur Noye. Mijamy Amiens, nie widząc go wcale, na boku zostawiwszy, niepodobna spisać sobie wszystkich wieżyczek i gotyckich kościołów po drodze, których tu dosyć, zastanawia więcej wyższa i okazańsza wieżycza w Arras, miejscu rodzinnym Robespiera. Ta strażnica gotycka i dom w którym się urodził ów szaleniec doktryner, są jedynymi prawie ciekawościami miasta, które się pomija, nie przejeżdżając przez nie. Kolej dotyka tylko do niego. W Douai oprócz twierdzy byłoby co zobaczyć, gdyby się zatrzymać można, bo jak wiele miast prowincjonalnych Francji, ma ono muzeum, galerję, bibliotekę i ratusz z XV wieku. Idzie potem Valenciennes, znowu miejsce obronne, krajobraz się ożywia, znać kraj bogatszy i pracowity, aż do Quievrain granicy belgijskiej i komory dosyć kłopotliwej dla podróżnych, ale któraż z nich przyjemna?

Za Quievrain kraj płaski, równy, lecz urządzone starannie, zamożny, zielony, uśmiechnięty, piękniejszy od niektórych części przebytej Francji, jej torfowych dołów, rowów i bagnisk. Kanały, rzędy drzew, piękne drogi, łąki zielone, mnóstwo fabryk oznajmują kraj czynnie przemysłem zajęty. Gdzieś tam wieża kościółka z za bujnych, starych drzew wygląda. Pejzaż ma w sobie coś hollenderskiego, flamandzkiego i krajobraz różni się wielce od przebytego w pierwszej połowie drogi. Niema prawie kawałka pustyj i nieuprawnej ziemi, gospodarstwo prawie

na ogrodową uprawę zarywa. Niziny wprawdzie jednostajne, ale całe zazielenione, roślinnością pokryte i znać, iż ziemia i klimat sprzyjają jej wielce. Drzewa wysokie, wybujałe cieniste, woda ujęta wszędzie w kanały po których idą statki końmi ciągnięte...

Ten sposób holowania u nas prawie nigdzie nie używany, bo nie mamy kanałów i rzek, którychby brzegi dozwalały go zastosować, powolny jest wprawdzie, lecz nie kosztowny. Para koni ciągnie ogromną barkę ładowną. Stary to zwyczaj krajowy, bo go na dawnych pejzażach flamandzkich widzimy.

Jesteśmy w Belgii.

[J. I. Kraszewski, *Kartki z podróży 1858-1864 roku*, Warszawa 1874, t. 1: s. 24-26, 232-233, 308-310; t. 2: s. 250-253, 320-321; źródło tytułu od autora; interpunkcja i wyróżnienia oryginalne; pisownia nieznacznie zmodyfikowana]